

## SZCZYPTA PRZESZŁOŚCI

Wreszcie w autobusie. Wygodnie i – co najważniejsze – ciepło. Przemarzałam na tym przystanku na kość, mimo że nie czekałam zbyt długo, może z dziesięć minut. No, cóż, z wiekiem człowiek nie jest już tak wytrzymały na zimno, jak w dzieciństwie czy młodości. Wtedy nawet kilkustopniowy mróz nie był przeszkodą w spędzaniu czasu na dworze.

W ogrzewanym wnętrzu autobusu było naprawdę przytulnie, ale ja wciąż czułam chłód i drzenie każdej cząsteczki ciała. Otulałam się szczelnie płaszczem, lecz na niewiele się to zdało. Wciąż miałam dreszcze. W dodatku zaczęłam odczuwać znajomy ból głowy i mięśni. Czyżby i mnie dopadła grypa? Wczoraj mówili w telewizji, że w naszym województwie wciąż rośnie liczba chorych, że to już prawdziwa epidemia i przychodnie pękają w szwach. Niby nic w tym dziwnego, bo to już przecież 30 listopada, a jesień, wiadomo, sprzyja łapaniu różnych chorobowych bakterii i wirusów, ale miałam nadzieję, że w tym roku jakoś się wymigam od przymusowego leżenia w łóżku.

Nagle w mojej obolałej głowie pojawiły się nieoczekiwane obrazy z przeszłości, błysnęło jakieś wspomnienie... Ale numer! *Déjà vu*?! Inny dzień 30 listopada, przeszło czterdzieści lat temu... Dziwne, że minęło tyle czasu od tamtego dnia, a ja pamiętam wszystko, jakby zdarzyło się wczoraj. Też była środa, taka sama pogoda jak dziś i też podróżowałam autobusem, tyle że nie takim wypasionym jak obecnie. I jeszcze jedna różnica: miałam szesnaście lat. A teraz?... Szkoda gadać...

\*\*\*

W środowe popołudnie wracałam z internatu do domu właśnie z powodu grypy. Stary autobus wytrwale, z jakimś zwierzęcym uporem, jak żółw w morskiej

kipieli przedzierał się przez mroczną ścianę słotnego jesiennego wieczoru. Niesamowicie charcząc i rżąc, walczył z siekącymi go niemiłosiernie falami ulewy. W czasie silniejszych podmuchów przeraźliwie wyjącego wichru dość niebezpiecznie przechylał się to na jedną, to na drugą stronę. Niekiedy gruchot dławił się, trzeszczał, piszczał i dudnił skorodowaną maszynerią ukrytą pod wyblakłą niebieską blachą. Miało się wrażenie, że to agonia stojącego nad grobem suchotnika.

Jednak zły stan pojazdu wcale mnie nie obchodził. Byłam szczęśliwa, że wracam do domu i najbliższe cztery dni spędzę z moją ukochaną rodziną. Aż cztery dni! Ale się zdziwią! Czekają ich niezła niespodzianka! Uśmiechnęłam się tę myśl. O! Dzisiejszy dzień to będzie pamiętna data w historii naszego lubrańskiego liceum. Pogodnym spojrzeniem obrzuciłam nielicznych pasażerów autobusu, niestety, jakichś smętnych i przygaszonych. Na ich twarzach dostrzegłam wyłącznie zmęczenie, ani odrobiny radości. Wyczekiwali końca podróży osowiali, senni i apatyczni, zastygli w przedziwnych pozach niby woskowe figury w muzeum madame Tussaud. Przemarznięte szare i zmęczone twarze idealnie współgrały z ciemnymi kurtkami i płaszczami oraz jesienną pogodą na dworze.

Zawsze denerwował mnie ten głupi zwyczaj noszenia jesienią i zimą wyłącznie szarości, czerni, brązów i zgniłych zieleni. Nieraz próbowałam się buntować przeciw tej normie. Kiedyś przekonałam rodziców do kupna kremowego płaszczyka i jasnobieżowych zamszowych kozaczków. Były piękne. Gdy jednak zobaczyłam, z jakim wyrazem twarzy ludzie patrzą na mój strój, jak kiwają głowami i uśmiechają się drwiąco, zrezygnowana zakładałam w końcu ciemną tweedową kurtkę i brązowe botki. To z kolei złościło moich rodziców – czynili mi wyrzuty z powodu niepotrzebnego wydatku na ubrania, których i tak nie noszę. Nie miałam ochoty na wydziwianie wiejskich kumoszek i komentarze w stylu: „Ale się wystroiła! Tak mogą się ubierać w mieście, a nie na wsi”.

W czasie gdy autobus pokonywał trasę od jednego przystanku do drugiego, pasażerowie trwali w odrętwieniu, zapatrzeni w jakąś nieznaną przestrzeń przed sobą, inni – w głęboką czerń za oknami. Choć marne były szanse na to, by mogli cokolwiek dostrzec w mroku listopadowego wieczoru, który przypominał sadzę wymiataną z komina, jednak wytrwale tkwili w bezsensownym zagapieniu.

Siedziałam przy oknie i z niepokojem wsłuchiwałam się w stukanie deszczu o szyby. Co za plucha! W pośpiechu nie wzięłam parasolki ani czapki, więc jeśli cały czas będzie tak lało, przemoknę do suchej nitki. Ta myśl i perspektywa samotnej wędrówki w totalnych ciemnościach nieco studziły radość z wizyty w domu. Żebym tylko nie złapała jakiegoś przeziębienia czy – nie daj, Boże! – grypy. Właśnie. Z tą grypą to była historia!...

Autobus regularnie podskakiwał na wybojach, bo nasze drogi pełne były wyrw, adekwatnie do dziurawej rzeczywistości narzuconej narodowi wskutek działania tzw. kierowniczej roli partii. Trzeba jednak przyznać, że te gwałtowne wstrząsy miały też pozytywną stronę: ożywiały pasażerów, którzy na moment budzili się z odrętwienia. Wymieniali z sąsiadami uwagi na temat jakości nawierzchni, ewentualnie umiejętności kierowcy – czy może raczej ich braku – ale cała dyskusja trwała bardzo krótko. Już po chwili znów popadali w otępienie. A może pograżali się w rozmyślaniach? Nie wiem. Co prawda, według moich rodziców czasy w naszej ojczyźnie były takie, że myślenie raczej przeszkadzało, niż pomagało... Może i tak, ale nie powinno się być bezwolnym i bezmyślnym. Byłam jednak zbyt młoda, by tracić czas na smutne dywagacje na temat szarej socjalistycznej rzeczywistości. Wystarczyła mi jesienna słota za oknem.

Wróciłam myślą do zdarzeń tego dnia. Aż trudno uwierzyć, że nie zważając na ewentualne konsekwencje, cała klasa zdecydowała się na realizację szalonego pomysłu Michała. Głupota, bezmyślność czy wręcz przeciwnie – kreatywność i spryt? Trudno dać jednoznaczną odpowiedź. A wszystko zaczęło

się we wtorek, podczas dużej przerwy. Siedzieliśmy sporą grupą na podłodze rozległego holu pałacu, w którym mieściło się nasze liceum, i gadaliśmy. W pobliżu stali dyżurujący nauczyciele: Bet i Mary, czyli polonista – profesor Beciński i nasza wychowawczyni, anglistka – profesor Hoffman. Docierały do nas strzępki prowadzonej przez nich rozmowy, ale nie była zbyt interesująca. Cóż mogło nas obchodzić biadolenie na wysoką absencję uczniów w poszczególnych klasach? Każdy wiedział, że od kilku dni ludzie w szkole chorują na gripę. W okresie jesiennym to normalka.

– Daj już sobie spokój z tą matmą! – Michał dotknął ramienia Wojtka.

Ten przerwał na moment wywody na temat przecieków od II b odnośnie do zadań na klasówkę i podniósł na kumpla zdziwiony wzrok.

– O co ci chodzi? – burknął. – Jak wiesz lepiej, to sam tłumacz.

– Nie o to chodzi, stary. Po prostu mam fajny pomysł. Mówię wam, po prostu ekstra! – konspiracyjnym szeptem wyjaśniał Michał, od czasu do czasu omiatając nasze twarze tajemniczym spojrzeniem. Efekt tego zabiegu zawsze był identyczny – wszyscy przysunęli się bliżej, mając nadzieję, że usłyszą coś naprawdę ciekawego. Grupa nagle straciła zainteresowanie czwartkowym sprawdzianem i skupiła wzrok na naszym klasowym *spiritus movens*.

– No, to mów! O co chodzi? – niecierpliwił się Zygmunt, a reszta klasy patrzyła wyczekująco.

– Chwila! Jak sobie pójdą, to wam powiem – odrzekł Michał, patrząc w kierunku profesorów zmierzających do pokoju nauczycielskiego. Gdy znikli za drzwiami, uśmiechnął się szeroko i oznajmił: – Można zrobić tak, żeby budę zamknęli. Teraz jest okazja. W każdej klasie jest zaledwie po siedem, osiem osób, więc... – przerwał na chwilę, podniósł się z podłogi i spojrzał na nas z góry. Jego wysoka atletyczna sylwetka obserwowana z dołu wydawała się jeszcze potężniejsza. Twarz kolegi, okrągła i rumiana, jaśniała radością, a w oczach migotały mu iskierki rozbawienia.

– Co ty gadasz?! Chyba ci już całkiem odbiło! Kto ci szkołę zamknie? – burczał wzgardliwie Krzysiek, który każdą propozycję, nawet bardzo ciekawą, podsumowywał pesymistyczną sentencją: „Można być na dobrej drodze do najgorszych niepowodzeń”.

Urodą z pewnością bił na głowę niejednego filmowego amanta, ale humor prawie zawsze miał wisielczy. W ogóle był jakiś taki mroczny, posępny i wiecznie z czegoś niezadowolony. Jednak jego wygląd... Wysoka, smukła sylwetka, męsko zarysowana szczęka, piękne ciemne brwi, błękitne oczy w oprawie długich rzęs i gęste czarne włosy, lśniące, choć może odrobinę sztywne – to wszystko sprawiało, że wzdychała do niego niejedna licealistka. Muszę przyznać, że i moje serce biło mocniej, gdy ten przystojniak znajdował się w pobliżu. Niestety, żadna z nas nie miała szans, gdyż klasowy adonis był zadurzony w Krysi, równie smętnej i melancholijnej, która w dodatku chyba nie odwzajemniała jego uczuć.

– Oj, Krzysiu, Krzysiu, więcej wiary w ludzi! Nie bądź takim fatalistą – zaśmiał się Michał. – Zobaczysz, że zamkną budę. Przekonasz się. Już moja w tym głowa.

Krzysiek skrzywił się i wzruszył ramionami.

– Ale jakim sposobem? – dopytywała się Ola.

– Trzeba przekonać poszczególne klasy, żeby wytypowały po dwie, trzy osoby, które przyjdą do szkoły. Reszta zostaje w domu lub w internacie i udaje chorych.

– Przecież to się wyda – pokręcił głową Zdzisiek. – A wtedy zobaczycie, będzie z nami krucho. Dyrektor nam nie daruje. To tylko pozornie jest takie proste. Jak przekonasz do wagarów prawie trzysta osób?! Dojeżdżający może nie dotrą, ale miejscowi i internat? Wyobraźcie sobie, co się będzie działo, jak Bet się dowie, że cały internat leży pokotem w łóżkach.

– Masz pietra? – W głosie Michała pobrzmiwała pogarda.

– Skąd! Nie o to chodzi! – Zdzisiek strasznie się wkurzył na takie posądzenie. – Po prostu się zastanawiam! A co? Nie wolno? Tylko ty masz patent na mądrość? Nie sądzę. Nie byłbyś zagrożony aż z trzech przedmiotów...

– Spokojnie, panowie – łagodził sytuację Andrzej. – Dajmy Michałowi powiedzieć.

– Tak, tak, opowiadaj! To się może udać! – Do rozmowy włączył się Zygmunt. Wyglądało na to, że pomysł kolegi bardzo mu się spodobał. – Tylko jak sprawić, żeby w klasach zostało tak mało uczniów? – zastanawiał się głośno.

– Słuchajcie, nic się samo nie zrobi! – Michał uśmiechnął się szeroko. – Trzeba działać. W każdej klasie jest ktoś, kogo inni słuchają, wystarczy dotrzeć do właściwych ludzi, a oni przekonają resztę. Na następnej przerwie ruszamy z Zygmuntem i Wojtkiem obgadać sprawę z innymi klasami. Na pewno rozruszamy to drętwe i bojaźliwe towarzystwo.

– Bet wpadnie do internatu, każe wszystkim zmierzyć temperaturę i koniec balu, panno lalu – stwierdził z kwaśną miną Krzysztof.

– Można zjeść kawałek surowego ziemniaka albo łyżeczkę proszku do pieczenia i już masz gorączkę – wtrącił Sławek, nie przejmując się obiekcjami kolegi.

– Czyli jesteście za? – zapytał Michał, ale było to pytanie *pro forma*, jak mawiał profesor Szunejko. Ton głosu wskazywał, że Michał nie bierze pod uwagę innej ewentualności niż odpowiedź twierdząca.

– Tak, tak... – podniosły się głosy, głównie męskie. Dziewczyny (ja również) nie do końca wiedziały, jakie zająć stanowisko. Udzielił się nam ogólny entuzjizm. Uważałyśmy, że byłoby fajnie mieć trochę wolnego, choć z drugiej strony – trzeba sprawę przemyśleć, gdyż może być z tego afera na całego. Chłopacy są zawsze w gorącej wodzie kąpani, a szczególnie Michał.

Droga od pomysłu do jego realizacji była bardzo krótka, jak to często bywa w przypadku młodych ludzi. Nie są rozsądni i sceptyczni jak dorośli, nie rozpatrują wszystkich za i przeciw, nie sprawdzają, czy im się to opłaci

(oczywiście nie zawsze, wtedy na przykład element korzyści był istotny). Gdy się pojawia ciekawy pomysł, po prostu zaczynają działać. Po trzech godzinach wszystko było załatwione. Gdy kończyliśmy lekcje i szliśmy do stołówki na obiad, pocztą pantoflową dotarła wiadomość, że pomysł Michała został zaakceptowany przez całe liceum. Zygmunt poinformował, że nie ma odwrotu i że następnego dnia wszyscy mieszkańcy internatu pozostają w łóżkach, udając chorych. Do szkoły mieli iść jedynie wyznaczeni uczniowie, z naszej klasy – troje: pomysłodawca Michał (ze względu na ojca, komendanta milicji, który łośł chłopakowi skórę przy byle okazji), Anka i Zyta.

Ciemny i chłodny środowy poranek wyrwał nas z ciepłych łózek. Nie dlatego, że mimo wszystko postanowiłyśmy iść do szkoły. Nie, nie! Po prostu zadzwonił budzik, który zapomniwałyśmy przestawić na późniejszą godzinę. Byłyśmy, co prawda, trochę skonsternowane całą tą sytuacją, ale sprzeciwienie się ustaleniom ogółu nie wchodziło w rachubę. Nikt nie chciał być nazywany łamistrajką ani traktowany jak czarna owca. Strach przed złymi spojrzeniami i krytyką ze strony kolegów był silniejszy niż obawa przed tym, co powiedzą i zrobią rodzice czy nauczyciele. I chociaż pomysł Michała nie wszystkim się spodobał, nikt się do tego nie przyznawał.

Ja również siedziałam cicho, nie protestowałam, mimo że z natury byłam dość ostrożna. Ba! Może nawet trochę cykor. Zawsze bałam się podejmować decyzje, które niosły ze sobą zbyt duże ryzyko niepowodzenia. Teraz też czułam instynktownie, że nic dobrego z tego nie wyniknie, ale zadziałała potęga większości. Początkowe obawy znikły, udzielił mi się entuzjazm kolegów. Poczulałam jakąś dziwną moc, energię, zjednoczenie z grupą. To, że nie byłam sama w tej sytuacji, dodawało mi animuszu. Mimo że pod skórą czaił się lęk, humor mi dopisywał, i wszystkim koleżankom z mojego pokoju też.

Wskoczyłyśmy z powrotem do łózek i plotąc trzy po trzy, czekałyśmy na wieści ze szkoły. Czas się straszliwie dłużył, więc po jakiejś godzinie każda z nas czymś się zajęła. Jedna czytała, inna pisała, a ja kopiowałam widoczek ze

starej pocztówki: morze, plaża, las – po prostu bosko! Tym bardziej, że za oknem jesień, a w pokoju ziąb, bo jeszcze nie napalono w piecu.

Około wpół do dziesiątej usłyszałyśmy straszny rumor na korytarzu. Do pokoju wpadli rozemocjonowani koledzy, którzy byli w szkole. Powiedzieli, że zrobiła się niezła zadyma, że dyro się wściekł, że zrobił apel, wyzwiał wszystkich od cymbałów i obiboków, a później polecił, żeby zdrowi poinformowali resztę, tych niby-chorych, że on się nie da nabić w butelkę. Podobno tak wrzeszczał, że całe miasto go słyszało. „Ja im wybiję głupotę z tych tępych głów!” – powtórzył ze trzy razy i nakazał, żeby wszyscy zgłosili się na badania do naszego szkolnego lekarza i przynieśli zaświadczenia lekarskie.

Co było robić? Trochę przestraszone ruszyłyśmy do przychodni. A tam? Armagedon! Poczekalnia pękała w szwach. Tłum rozgorączkowanych uczniów – niestety, bez tak pożądanej w owej chwili gorączki – huczał niczym rój wściekłych pszczół. Strach zajrzał wszystkim w oczy. Polecą po zachowaniu, może nawet wyrzucą ze szkoły! Na pewno będą kłopoty. Pielęgniarki zaczęły rozdawać termometry, przeciskały się między nami, próbując opanować bałagan i dojść do ładu, kto już zmierzył temperaturę, a kto jeszcze nie. Rezultat tych zabiegów był marny, bo gdy tylko siostra przeszła do następnego delikwenta, poprzednik intensywnie pocierał termometr, więc każdy „miał” dość wysoką gorączkę. Czerwony jak przejrzały pomidor doktor Hoffman, mąż naszej wychowawczynie, złościł się, że musi obsłużyć taką gromadę. W dodatku trudno było określić, kto jest chory, a kto tylko udaje, skoro wszyscy mieli wysoką temperaturę, niezdrowe rumieńce i pokasływali. Lekarz dwoił się i troił, sprawdzając kolejne gardła, osłuchując płuca i oskrzela, ze zrezygnowaną miną wypisując recepty i zwolnienia.

Wywoływano nas alfabetycznie. Na pewno dyrektor podesłał jakąś listę. Przerazona czekałam na swoją kolej. Termometr jeszcze do mnie nie dotarł, więc bałam się, że każą mi zmierzyć gorączkę w gabinecie. A wtedy klops. Wyda się, że jestem zdrowa.



– Janiak Elżbieta! – krzyknęła pielęgniarka, wysuwając głowę z gabinetu.

Weszłam na miękkich nogach.

– Mierzyłaś temperaturę? – zapytała ostro.

– Jeszcze nie – odparłam cicho.

Już sięgała po termometr, gdy naburmuszony lekarz spojrzał na nią i powiedział:

– Nie ma czasu, pani Zosiu. Co prawda, już dzwoniłem do szkoły, żeby podjęli jakąś decyzję, ale na razie cisza. Jak nic nie zrobią, to będziemy tu siedzieć do nocy. – Potem zwrócił się do mnie: – Podejdź bliżej i otwórz usta.

Oględziny trwały jedynie chwilę.

– Wreszcie jakaś naprawdę chora – stwierdził i usiadł, żeby wypisać zwolnienie i receptę.

Odetchnąłam z ulgą i podziękowałam Bogu za moje zawsze zaczerwienione gardło. Jak powiedział znajomy lekarz, taka już moja uroda. Właśnie sięgałam po receptę i zwolnienie, gdy diabelski wrzask dziesiątek młodych gardeł rozdarł ciszę gabinetu.

– Hura! Hura! – Usłyszeliśmy z poczekalni.

– Co tam się dzieje, pani Zosiu? Niech pani zobaczy. – Lekarz z dezaprobatą kręcił małą okrągłą głową umieszczoną na krótkiej szyi, która całkiem zniknęła w kołnierzyku białego kitla.

Wyszłam z gabinetu razem z pielęgniarką. Nie wyobrażacie sobie, co zobaczyłam! Prawdziwe szaleństwo. Wiwatujący tłum licealistów wylewał się z przychodni na ulicę. Wszyscy krzyczeli, wiwatowali, tańczyli. Ktoś przyniósł wiadomość, że dyrektor ogłosił zamknięcie szkoły do końca tygodnia. Ponury dzień pojaśniał od tej młodzieńczej radości. Ba, nawet blade słońce, wyjrzało na chwilę zza chmur! Skuleni przechodnie prostowali się i patrzyli na nas z pobłażliwym uśmiechem.

– Ot, młodość... – Pokiwała głową jakaś starsza pani.

Z naprzeciwka szedł ku nam Michał, dumny jak paw, z szelmowskim uśmiechem na pyzatej twarzy.

– I co?! Jestem wielki! – wołał ku nam.

– Potężny jak caryca Katarzyna! – wrzasnął ktoś z tłumu, a reszta licealistów wybuchła gromkim śmiechem.

Szłam z innymi, pełna entuzjazmu, trochę oszołomiona i niedowierzająca. „Niesamowite! Wywołaliśmy epidemię!” – myślałam podekscytowana. To się nazywa jedność. Całe liceum! Nie wierzyłam, że nam się uda. Jak silna może być grupa, gdy się zjednoczy. Udało się pokonać nawet takiego twardziela jak nasz dyrektor, a przecież nie ma chyba w szkole osoby, która by się go nie bała.

Za oknem wciąż szumiała ulewa. Światła autobusu ślizgały się po lśniącej tafli szosy, która wyglądała teraz jak grzbiet potężnego wieloryba, wylaniającego się z morskich odmętów. Po dniu pełnym wrażeń i pod wpływem usypiającego kołysania pojazdu poczułam zmęczenie i senność. Nagle z siedzenia przede mną podniósł się jakiś facet. Na oko miał ze trzydzieści lat, czyli przy moich szesnastu to właściwie starzec. Przynajmniej tak wtedy pomyślałam. Chociaż musiałam przyznać, że całkiem przystojny był z niego „staruszek”: wysoki, smukły, czarnowłosy. Tyle że wyglądał na strasznego bufona. Jakiś taki wygladzony, ubrany w gabardynowy płaszcz, na szyi jedwabny szaliczek, na głowie szary kapelusik z filcu. W lewej dłoni, którą opierał na poręczy fotela, trzymał skórzane rękawiczki. Pomyślałam, że pewnie będzie wysiadał w Osięcinach i dlatego wstał z fotela. Niestety, byłam w błędzie. Okazało się bowiem, że miał zupełnie inny zamiar. I to moja skromna osoba stała się celem jego działań.

Pochylił się ku mnie z uśmiechem, zmrużył oczy, obleśnie przejechał językiem po mięsistych wargach i zapytał półgłosem:

– Panienska tak sama podróżuje po nocy?

– Jeszcze nie noc – odburknęłam niezbyt grzecznie, obrzucając pogardliwym spojrzeniem jego wymuskaną twarz. „Kretyn lansujący się na przedwojennego amanta” – pomyślałam i ostentacyjnie odwróciłam głowę, udając, że gapię się w okno, chociaż panowała za nim totalna ciemność. Przez chwilę w szybie odbił się fragment twarzy nieznanego. Dostrzegłam w niej coś niepokojącego, jednak nie potrafiłam określić, co to było.

– Ale ciemno – usłyszałam za plecami przesłodzony głos. – Nie boi się panienka? Ładne dziewczynki powinny siedzieć w domu, bo to niebezpiecznie chodzić samej po nocy. Ale ja się mogę panienką zaopiekować...

Dreszcz przeszedł mi po plecach i obleciał mnie strach. Mimo wszystko starałam się robić dobrą minę do złej gry.

– A czego mam się bać? Nie będę wracać sama. Ojciec po mnie wyjdzie na przystanek! – powiedziałam butnie, ale miałam wrażenie, że w moim głosie słychać drżenie.

Casanowa też chyba je usłyszał, bo nie potraktował moich słów serio i oznajmił z ironicznym uśmiechem:

– Gdyby jednak tatuś po panienkę nie wyszedł, to ja chętnie potowarzyszę. We dwoje będzie różniej.

Mimo że w autobusie panował dotkliwy ziąb, zrobiło mi się gorąco. Teraz miałam już porządnego stracha. Zdałam sobie sprawę, że kiedy światła autobusu oświetlą mój przystanek, ten typ zobaczy, że nikt na mnie nie czeka. Wtedy wysiądzie i... Bałam się myśleć, co może się zdarzyć.

Nagle z tyłu usłyszałam chrząknięcie. Odruchowo spojrzałam za siebie. Starszy mężczyzna, masywny i barczysty, popatrzył na mnie jasnym spokojnym wzrokiem i powiedział dość głośno:

– Nie bój się, dziecko!

Patrzyłam na niego jak zaczarowana. Uśmiechnął się do mnie pogodnie i spojrzał na autobusowego donzuana.

– Odczep się od dziewczyny – stwierdził niezbyt głośno, głosem jakby wyzutym z wszelkich emocji.

– Bo co?! – Goguś się zacietrzewił.

– Bo słyszę, co gadasz, i jak nie zostawisz dziewczyny w spokoju, może się to dla ciebie źle skończyć! – Mężczyzna mówił wolno, a w jego niskim chropawym głosie dało się słyszeć ostrzegawcze tony.

– Nie strasz, dziadku! – Podrywacz się nie przejął i wyszczerzył w pogardliwym uśmiechu śnieżnobiałe zęby.

– Nie straszę, tylko uprzedzam.

– Odczep się, pan! Nic ci do mnie i do tego, z kim rozmawiam! – Elegancik się zacietrzewił.

– Nie prowokuj mnie, dupku jeden! Znam takich jak ty! Ostrzegam: trzymaj się od dziewczyny z daleka, bo ci kości porachuję!

– Żebym ja tobie nie porachował, staruchu! – Elegancik wyzywająco zacisnął prawą pięść, ponieważ lewą trzymał się poręczy fotela.

Speszona siedziałam sztywno, a twarz miałam czerwoną jak letnie maki w złocistej pszenicy. Cały autobus śledził rozwój wydarzeń, a ja nie lubiłam być w centrum uwagi. Zaciekawieni podróżni pewnie liczyli na rozróbę. Wszystko wskazywało na to, że ich oczekiwania wkrótce zostaną spełnione.

Starszy mężczyzna nie odpowiedział na impertynencje przeciwnika. Bez pośpiechu podniósł się z fotela i stanął w przejściu. Szok!... Jego wzrost był naprawdę imponujący. Z ledwością mieścił się w wąskim korytarzyku pomiędzy siedzeniami. Pochylił głowę, żeby nie uderzyć o sufit. Patrzyłam zaskoczona na swego obrońcę. W autobusie panował półmrok i wcześniej nie miałam pojęcia, że to taki olbrzym. Goguś też zbaraniał, najwyraźniej nie spodziewał się takiego obrotu sprawy. Zmiękł niczym bibuła nasączona wodą. Obrzucił adwersarza ogłupiałym spojrzeniem, a po wyrazie jego twarzy było widać, że bilans chyba nie wyszedł mu na plus, bo starając się nadrabiać miną, uśmiechał się skonfundowany.

Kierowca wrzasnął:

– Co się tam, do cholery, dzieje?!

– Nic się nie dzieje, panie kierowco! – odkrzyknął mój obrońca. – Tylko jeden taki aż się prosi, żeby mu przyłożyć.

– A to co innego, panie Stasiu! Jak trzeba, to trzeba! – Kierowca zarechotał. Śmiech miał rubaszny i zaraźliwy, więc już po chwili dołączył do niego cały autobus.

Wielkolud podszedł do niefortunnego podrywacza i popatrzył na niego z góry. Tamten zaczął bełkotać:

– Co pan? Co pan? To już porozmawiać nie wolno?

– Siadaj i milcz, absztyfikancie! Pókim dobry! – Olbrzym zmarszczył groźnie brwi, podsunął mu pod nos szuflowatą pięść, a potem najspokojniej w świecie się odwrócił, puścił do mnie oko i z pogodnym uśmiechem wrócił na swoje miejsce.

Dziękowałam mu, trochę zawstydzona całym tym zamieszaniem. Położył ogromną dłoń na mojej głowie i powiedział miękko:

– Nie ma za co dziękować, moje dziecko. Nienawidzę takich typków. Chętnie bym mu wymasował tę gładką gębusię, ale nie biję tchórzy. Za duży smród.

Wtedy rozległy się głośnie brawa. Pasażerowie krzyczeli „Hura!”, śmiali się, a listopadowy uwodziciel jak niepyszny przeszedł do przodu. Usiadł niedaleko drzwi, a kiedy autobus zatrzymał się na przystanku w Witowie, szybko wysiadł. Nie obejrzał się ani nie pożegnał. Ten pośpiech wywołał kolejne ironiczne komentarze i jeszcze większą wesołość.

– Toś mu pan zadał bobu, panie Stasiu! – ryknął kierowca. – Miał wysiadać dopiero w Piotrkowie, ale widocznie się rozmyślił! – Śmiech zagulgotał mu w gardle, a cała korpulentna postać trzęsła się i podskakiwała. Radość w nim aż kipiała i rozlewała się wokół jak sok ze słoja ogórków podczas kiszzenia.

– Może mu się podróż dłużyła i wołał się przejść! – odkrzyknął siłacz.

– Oj! To będzie miał długi spacerek!

– Dałby Bóg, żeby nabrał trochę rozumu – stwierdził osiłek, ale niezbyt głośno, jakby do siebie.

Po chwili autobus ruszył, a monotonny szum motoru i deszczu za oknami uspokoił ludzi. Niektórzy znowu przysypiali, inni prowadzili ciche rozmowy. „Jeszcze tylko dwa przystanki” – pomyślałam. Odetchnęłam z ulgą, że pozbyłam się niechcianego towarzystwa. Nie miałam pojęcia, że to nie koniec atrakcji, jakie przygotował dla mnie ten szczególny dzień.

Autobus zahamował z piskiem hamulców, zakolebał się i stanął. Wyszłam z mętnego światła w bezgwiezdny otchłań jesiennego wieczoru pełnego tajemniczych szumów, trzasków, szelestów i jęków. Bez przerwy musiałam sobie powtarzać, że to jedynie wichura tańczy jakiś dziki *dance macabre*. Chwilę stałam, próbując oswoić oczy z ciemnością, potem niepewnie ruszyłam ku słabym światełkom dalekich domów. Ich migotliwy blask dodawał mi nieco otuchy.

Przestało padać, tylko wiatr zawodził w trzcinach na brzegach jeziora. Wiedziałam, że szosa opada w dół i rozdziela taflę wody na dwie części, ale było tak ciemno, że szłam prawie po omacku. Na szczęście znałam tu każdy kamień, więc miałam nadzieję, że nie wpakuję się do jeziora i dotrę szczęśliwie do domu. Wyobrażałam sobie zaskoczenie rodziców, kiedy stanę w drzwiach. Nikomu nie przyszłoby do głowy (jeszcze wczoraj – nawet mnie samej), że ze względu na fałszywą epidemię grypy zamkną szkołę do końca tygodnia. Szłam wolno i ostrożnie, badając, czy mam pod stopami chropowatą i twardą powierzchnię jezdni, czy gładką i miękką strukturę pobocza. Kiedy tylko poczułam pod butami piasek, robiłam skok w prawo, na szosę. Czulałam się jak kret w podziemnym korytarzu albo Persefona w królestwie Hadesa. Ni stąd, ni zowąd przypomniały mi się słowa z *Dziadów*: „Ciemno wszędzie, głucho wszędzie, co to będzie, co to będzie?”. Uśmiechnęłam się do swoich myśli. A co

ma być? Jak się trochę rozjaśni, to za czterdzieści minut powinnam dotrzeć do domu. Na szczęście po pewnym czasie wzrok trochę mi się przyzwyczaił do ciemności. I jakby rozjaśniło się odrobinę. Zabiedzony księżyc próbował być pomocny i czynił starania, by przebić się przez poszarpane chmury. Wyglądał niczym brodaty zakapior z bieszczadzskich połonin.

Po rozważeniu wszystkich za i przeciw zdecydowałam, że pójde na skróty. Skręciłam w prawo i ruszyłam na drugą stronę szosy, powoli zeszałam, a właściwie zsunęłam się na wąską ścieżkę biegnącą przez łąkę nad brzegiem jeziora. Skarpa w tym miejscu jest dość stroma i trzeba zawsze bardzo uważać, żeby się nie wywrócić. I wtedy... W odległości kilkunastu kroków usłyszałam męskie głosy: ochryple, bełkotliwe, chwilami krzykliwe i pełne agresji. Wpatrywałam się w granatową ciemność, aż bolały mnie oczy, ale niewiele mogłam dostrzec. Widziałam jedynie jakieś mgliste fioletowe smugi, długie ruchliwe cienie, szarpiące się jak pies na łańcuchu. Stałam przerażona. „Jacyś pijani?” Nie wiedziałam, co robić. Gdyby coś mi się stało, w domu nawet by o tym nie wiedzieli. Może wrócić do szosy i pójść dookoła? Głosy na chwilę ucichły. Trochę uspokojona ruszyłam dalej. „Są przede mną, więc będę szła powoli, żeby się z nimi nie spotkać. W końcu dojdą do końca ścieżki – myślałam – a dalej są już domy Nowego Dworu. Światło z okien pada na drogę, więc zobaczę, kto tak wrzeszczy i ilu ich jest.” Z tym postanowieniem, obserwując cienie przede mną, wlokłam się noga za nogą. W pewnej chwili powietrze znów rozdarło kilka okrzyków, jakby zlanych w jeden napastliwy jazgot – ni to kłótnia, ni to rozmowa. Znów się zatrzymałam. Nie pojmowałam, co się dzieje. Kiedy wrzaski ucichły, ruszyłam dalej.

Wreszcie ze ścieżki wyszłam na główną drogę. I naraz znów usłyszałam te głosy. Po ubitej zwirowej drodze ślizgały się światła z okolicznych domów, ale w granatowo-szarej poświacie ze zdziwieniem dostrzegłam nie ludzi, lecz rozmyte w niebieskawej mgle kształty jakby wozów drabiniastych wyładowanych słomą czy może sianem. I gdzieś z góry, z wierzchołków tych

kop dobiegały te same głosy. Niestety, choć wsłuchiwałam się z wyteżoną uwagą w pokrzykiwania woźniców, nie byłam w stanie zrozumieć ani jednego wyrazu.. Miało się wrażenie, że to nagrany fragment bezsensownej rozmowy. Czułam dziwny niepokój, ale przyznaję, że w tamtej chwili nie był to jeszcze paniczny strach. Ot, kilku chłopów się popiło i wrzeszczą. Trzymałam się jednak z daleka w obawie, żeby któryś pijak razem z belą słomy nie zwałił mi się na głowę.

Krzyż na rozstajach. Nareszcie. Przeżegnałam się i zaczęłam się żarliwie modlić. Zauważyłam, że droga przede mną opustoszała, a krzykliwe cienie skręciły w boczny piaszczysty trakt. „Dzięki Ci, dobry Boże. Nareszcie pozbyłam się niemiłego towarzystwa”. Ruszyłam przed siebie szybkim krokiem, właściwie prawie biegłam, aż wiatr szumiał w uszach. Do mojej wsi było już niedaleko, może z pół kilometra. Wreszcie pierwsze gospodarstwo. Strach opadł ze mnie jak kurtyna po zakończonym spektaklu. Tu byłam wśród swoich. Wszyscy mnie znali i ja znałam wszystkich. Jeżeli zajdzie taka potrzeba, wejdę do pierwszego z brzegu domu – każdy mi pomoże. Światła z budynków gospodarczych, podwórek, kuchni i pokoiów chat ciągnących się po obu stronach drogi zalewały mdłym blaskiem fragmenty otwartej przestrzeni, pozostawiając resztę w tajemniczym cieniu. Wtem...

Przy trzecim domu znów usłyszałam głosy. Co to ma znaczyć?... Strach spętał mi nogi, spowolnił kroki, zmienił ruchy w sztywne gesty teatralnej marionetki. W smugach światła przecinającego tunel drogi wypatrywałam ludzi. Niestety, głosy nie milkły, choć nikt nie pojawił się w jaśniejszych prześwitach. Ich właściciele są chyba duchami. Duchami? Boże, duchami?! To duchy! Nie idę dalej! Nie idę! Przeraziłam się, że będę musiała minąć wieś i samotnie, a właściwie w tym niezbyt miłym towarzystwie, iść jeszcze pół kilometra do domu. „Po co rodzice wybudowali się tak daleko od wioski?” – złościłam się w duchu i wlokłam noga za nogą. Mama zawsze powtarza: „Duch ci krzywdy nie zrobi. Bać to się można żywych, a nie zmarłych”. Łatwo tak mówić, jeśli się



żadnego nie spotkało. Miałam porządnego stracha. Przede mną wciąż te głosy, tylko ich właściciele jakoś nie chcieli się ujawnić. Rozważałam wejście do któregoś z sąsiadów z prośbą o pomoc, ale było mi trochę głupio. Co powiem? Że prześladują mnie duchy? A jak mnie wyśmieją? Młodego człowieka kpina i śmiech chyba bardziej bolą niż odmowa. Minęłam dom Łukasiewiczów, potem Łosiów i chatę dziadków. Miałam cichą nadzieję, że tatuś jest właśnie u babci i razem wrócimy do domu. Teraz, kiedy dziadek był w szpitalu, ojciec zachodził do niej codziennie – żeby pomóc przy kolacji i położyć ją spać. Babcia była częściowo sparaliżowana i miała trudności z poruszaniem się. Mamusia biegła do niej z obiadami, proponowała, żeby zamieszkała z nami, ale staruszka nie chciała się przeprowadzić, czekała na powrót dziadka. Całe życie strasznie go kochała, więc nie mówiliśmy jej, że to rak wątroby i że może być różnie. Co prawda, siostra pisała, że podobno dziadek czuje się już lepiej i w tym tygodniu ma być wypisany ze szpitala. Może już wrócił do domu?

Gdy babcia zachorowała, dziadek nie mógł sobie z tym poradzić. Zaczął popijać, z czasem coraz więcej. Jednak wódka go nie zmieniła – nawet gdy miał sporo w czubie, zachowywał się jak dżentelmen. Zawsze był ciepły, serdeczny i hojny. Miał też wiele talentów: umiał robić buty, opatrzyć, a nawet zszyć każdą ranę, był niezwykłym ogrodnikiem i wspaniale gotował. Uwielbiałam jego zawieszisty rosół z kluskami ziemniaczanymi, które robił często, bo mógłby je jeść na okrągło. I pikantne schabowe z kością oraz cudownym aksamitnym sosem. Dziadek kochał ludzi i oni go kochali. Myślę, że nie miał wrogów. Niestety, alkohol odsunął go od Boga i od Kościoła. Kłócił się z księdzem na kolędzie. Dowodził, że Stwórca jest niesprawiedliwy, że w ogóle nie rozumie człowieka, a przecież sam go stworzył. I po co?! Dla zabawy? A może lubi patrzeć, jak człowiek cierpi? Przecież to sadyzm. Proboszcz twierdził, że dziadek bluźni, próbował go przekonywać, iż Bóg kocha ludzi, lecz dziadek odpowiadał z kamiennym spokojem (zawsze podczas kolędy był trzeźwy), że ksiądz nie ma argumentów na poparcie swoich tez, tylko same banały dla

prostych parafian i tercyjanek. Wtedy ksiądz kończył dyskusję, mówiąc: *Hominis est errare, insipientis in errore perseverare* (łac. Rzeczą ludzką jest błędzić, ale tylko głupiec trwa w błędzie), a potem mrucząc pod nosem: *Ebrietas est metropolis omnium vitiorum* (łac. Pijaństwo jest siedliskiem wszystkich wad), wychodził. Dobrze wiedział, że dziadek nie zna łaciny.

Z niepokojem minęłam kolejny dom, wypatrując światła na podwórku dziadków. To byłby znak, że tatuś jest jeszcze u babci. Głosy ucichły na moment. Zza potężnych rozłożystych kasztanowców wychynęła niska chatka kryta strzechą. I wtedy serce wypełniła mi dzika radość. Światło na podwórzu i w domu! Nie muszę dalej iść sama ani prosić kogoś z sąsiadów! Tato był u babci.

Skręciłam w lewo na ścieżkę wiodącą do furtki w płocie. Zawsze wchodziliśmy od podwórza, nie frontowymi drzwiami. W ogrodzeniu plecionym z wikliny były dwie furtki: jedna – od północy, druga – dokładnie naprzeciwko pierwszej. Ta północna znajdowała się bliżej. Weszłam na podwórze i stanęłam zaskoczona niecodziennym widokiem: sąsiedzi wynosili z domu rzeczy. Były tam łóżka z dużego pokoju, stół i sienniki, które oparto o pobieloną wapnem ścianę... W tej przedziwnej grupie ludzi krzątających się w milczeniu, w jakiejś uroczystej ciszy, dostrzegłam tatę. Stał i wodził za nimi nieobecny wzrokiem, jakby nie mógł się w tym wszystkim odnaleźć. Nie zwracali na to uwagi, robili swoje.

– Tatuś! – zawołałam od furtki.

Ojciec odwrócił głowę i spojrzał na mnie zdziwiony. Nie rzucił się ku mnie z radością, z uśmiechem, który zawsze dodawał jeszcze blasku jego słonecznej twarzy. Dopiero po chwili jakby się ocknął ze snu.

– A, córunia?! – Minął kręcących się wokół ludzi i ruszył ku mnie. – Co tu robisz, dziecko kochane? – zapytał, ale w jego głosie nie wyczuwało się żadnego zainteresowania. Miałam wrażenie, że wcale nie był ciekaw odpowiedzi, że miał głowę zajęętą innymi sprawami.

Dziwiłam się w duchu, że nie pocałował mnie na powitanie, a przecież zawsze tak robił. Sąsiedzi uprzętałi podwórze i też wyglądali na nieobecnych. Nie zwracali na mnie uwagi. Zupełnie tego nie pojmowałam. Innym razem przez te kilka minut usłyszałabym już dziesiątki pytań o szkołę, o stopnie, o kolegów i nauczycieli.

– Liceum zamknęli do niedzieli, bo jest epidemia grypy – powiedziałam półgłosem. Udzielił mi się ten dziwny nastrój otoczenia.

Po tych słowach ojciec drgnął.

– Jesteś chora? – spytał z niepokojem w głosie.

– Ja? Nie. Ale ty źle wyglądasz – stwierdziłam, patrząc jak ociera dłonią mokre od potu czoło. Policzki miał krwistoczerwone, ciężko oddychał. Uśmiechnął się blado.

– No, bo widzisz, mnie właśnie chyba grypa dopadła. Dlatego się z tobą nie przywitałem. Mam prawie czterdzieści stopni gorączki, ale co zrobić, muszę tu być. Mamusia została z Danusią w domu. Co prawda i tak nic nie robię, bo nie mam siły, ale na szczęście sąsiedzi przyszli pomóc. Sam bym dzisiaj nie dał rady.

Nie mogłam zrozumieć, o co mu chodzi. Wydawało mi się, że ojciec mówi jakoś chaotycznie. „To pewnie od tej gorączki” – pomyślałam i rozejrzałam się wokół, próbując dojść, o co chodzi.

– Co tu się właściwie dzieje?

– No właśnie... Bo ja ci nie powiedziałem... – zaczął z trudem tata i objął mnie ramieniem. – Dziadek dziś umarł.

– Dziadek umarł? – Nie mogłam zrozumieć tych oczywistych słów. – Jak to? Przecież było już lepiej.

– To była pozorna poprawa. Umarł dziś po południu, o trzeciej. Zadzwonili do mnie do biura. Już miałem wychodzić. Trzeba pokój przygotować, bo jutro przywiozą ciało i trumnę.

Wiadomość była niczym cios, którego się nie spodziewasz. Poczułam się dziwnie. W głowie błysnęła jakaś myśl: niewypowiedziana, nienazwana. Podniosłam oczy w górę, ku niebu. Wypogodziło się i lśniło punkcikami milionów gwiazd. Poczułam znajome szczypanie. Zamrugałam gwałtownie, bojąc się, że zacznę płakać. Ojciec przytulił mnie mocno, aż zabolalo. Jednak ten ból był niczym w porównaniu z jakimś straszliwym szarpaniem w środku. Drżały mi kolana. Pomyślałam, że to był znak. Przez chwilę zdawało mi się, że już wiem, że poznałam prawdę, że coś rozumiałam... Tylko co rozumiałam?... Co wiem?... Wszystko, co sobie wyobrażałam, to wyłącznie moje ludzkie domysły. Mogłam jedynie powtórzyć za Sokratesem: „Wiem, że nic nie wiem”.

\*\*\*

Autobus płynął przez listopadowy mrok. Wspomnienia z młodości stłumił nasilający się ból głowy. Tylko jednej myśli nie mógł zagłuszyć. Tłukła się w niej uparcie: „Po co było tamto widziadło, co oznaczało?”.

Niestety, minęło tyle lat, a ja wciąż nie znam odpowiedzi.